TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 45. POZNAŃ dnia 7 Listopada **1862.**

„Tygodnik Poznański“ wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prusach na poczcie i w księgarniach: 1¼ tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl. śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop. śrb.; we Francyi 5 franków; w Redakcyi 1¼ tal., albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego redaktora.

Dzieje Wincentego Niemojowskiego po rewolucyi 1830 roku,

spisane przez jego cioteczną siostrę,

Barbarę z Walknowskich Kamińską.

BIOGRAFIA.

W szeregu najgorętszych miłośników Ojczyzny z czasów, od których nas zaledwie lat trzydzieści dzieli, stoi postać Wincentego Niemojowskiego, dzielnego obrońcy swobód i praw krajowych, jednego z kierowników sprawy ojczystéj, więźnia na śmierć skazanego, wygnańca, w drodze na wygnanie zmarłego. Liczne były jego zasługi i cierpienia. Pierwsze spisał Maurycy Mochnacki w Powstaniu Polskiem — drugie opowiedziała siostra, pocieszycielka jego chwil ostatnich. Notowany z dnia na dzień opis téj wielkiéj niedoli, poprzedzimy krótką biografią Wincentego Niemojowskiego, skreśloną przez brata jego Bonawenturę, zmarłego w Paryżu.

Wincenty Niemojowski urodził się 5 Kwietnia 1784 we wsi Słupi, w województwie Sieradzkiem, ziemi Wieluńskiéj z Anieli z Walknowskich i Feliksa Niemojowskich. Do czternastego roku życia pobierał nauki w szkołach wieluńskich. Po śmierci rodziców oddany w r. 1798 do szkoł pijarskich w Warszawie, kształcił się, słuchając nauczycieli takich, jak Dmochowski, Wolski, Kamiński, Bystrzycki i Zaborowski, którzy uważali go za jednego z najlepszych uczniów. — W roku 1800 wysłano Niemojowskiego do uniwersytetów niemieckich w Halli i Erlangen, gdzie do 1803 r. pozostał.

Wróciwszy do kraju, pracował w sądownictwie w Kaliszu. W r. 1806 wezwany przez jenerała Dąbrowskiego, został członkiem Izby administracyjnéj departamentu Kaliskiego. Ożeniwszy się w r. 1810 z Katarzyną Umińską, osiadł na wsi i tam oddał się naukom politycznym. Ze studiów organizmu, pomyślności i postępu moralnego rozmaitych państw, powziął przekonanie, iż monarchia konstytucyjna jest formą rządu najstósowniejszą na czas obecny i taką do śmierci pozostała jego wiara polityczna.

Po utworzeniu Królestwa Kongresowego i zaprowadzeniu w niem formy konstytucyjnéj, Wincenty Niemojowski został obrany posłem powiatu Kaliskiego i stanął na czele wolnomyślnych posłów kaliskich, stróżów i propagatorów zasad konstytucyjnych. Budowa szczupłego Księstwa Warszawskiego nie mogła zaspokoić, ani posłów takich jak kaliscy, ani narodu. Polacy weszli do służby publicznéj, uważając Księstwo Warszawskie jako zarodek przyszłéj Polski. — Pragnienia wszystkich były jedne — różniono się tylko w środkach chodowania tego dziecięcia. Trwożliwsi ulegając, chcieli czekać przyjaźniejszych okoliczności — śmielsi, do takich należał Niemojowski, zająwszy stanowisko konstytucyjne, na drodze prawnéj chcieli bronić swobód krajowych. Ta droga rozsądku najwłaściwsza w kraju niepodległym, w podległym wnet okazała się niemożebną.

Na sejmie w r. 1820 wystąpił Niemojowski z pierwszym przeciwko woli rządu oporem. W r. 1822 wystąpiwszy w obronie majora Radońskiego, uwięzionego w Warszawie, chociaż był obywatelem Księstwa Poznańskiego, Niemojowski został przywieziony pod eskortą do Warszawy, gdzie Wki. Książę oświadczył mu cesarskie nieukontentowanie i zakaz znajdowania się w miejscu, w któremby monarcha przebywał.

Był to pierwszy krok do wykluczenia Niemojowskiego z reprezentacyi narodowéj.

Skoro w r. 1825 ostatni sejm za panowania cesarza Aleksandra zwołanym został, Niemojowski pospieszył do Warszawy. — Dojechawszy do rogatek stolicy, zatrzymany został przez żandarmów i do domu odprowadzony, gdzie reprezentant krajowy bez sądu ni wyroku aż do powstania listopadowego więźniem we własnéj wsi pozostał.

Pięcioletni czas więzienia pod strażą oficera i żołnierza, Niemojowski poświęcił pracy umysłowéj; głównie zajmowały go badania polityczne. Wygotował dwutomowe dzieło o Teoryi Rządu Konstytucyjnego wedle Benjamina Constant, które wyszło w r. 1830.

Po wybuchu listopadowym, Niemojowski uwolniony dnia 3 Grudnia, przybył niezwłocznie do Warszawy. Najprzód objął na czas krótki ministeryum spraw wewnętrznych, a przy głosowaniu sejmowem na członków rządu narodowego otrzymał największą liczbę krések po księciu Adamie Czartoryskim. Obok niego tedy zasiadł w rządzie złożonym z pięciu członków. Historya orzekła, że przez czas sześcio-miesięcznego uczestnictwa w władzy naczelnéj Niemojowski usprawiedliwił ufność ziomków najczystszym patryotyzmem, oraz wytrawnem zdaniem dojrzałego męża stanu.

Po bitwie pod Grochowem, na wniosek Niemojow-

skiego, zapadło postanowienie, że sejm w liczbie 33 senatorów i posłów, będzie prowadził dalsze obrady.

Po kapitulacyi Warszawy wraz z wojskiem i rządem, opuścił stolicę i przez Prusy zamierzał dostać się w Krakowskie, gdzie oddział Czerkiesów nad granicą pruską zatrzymał go i wraz z towarzyszem podróży, świeżo zmarłym kasztelanem senatorem Narcyzem Olizarem, odstawił do Warszawy, gdzie go zaraz po przyjeździe odszukała troskliwa siostra. W tem miejscu, brat wygnaniec, jéj pióro oddaje, jako naocznemu świadkowi więzienia, sądu i wyroku.

Na pierwszéj karcie téj smutnéj historyi czytamy:

OPIS POJMANIA I WIĘZIENIA WINC. NIEMOJOWSKIEGO
po zakończeniu rewolucyi naszéj 29 Listopada 1830 r.

To smutne zdarzenie, ażeby w żadnéj drobnostce nie poszło w zapomnienie przez przeciąg lat późniejszych, umyśliłam za świeżéj pamięci notować. Oto jest rzecz, jak była. Będąc 9 Listopada 1831 roku na wieczorze u konsulowéj austryackiéj Exnerowéj, Polki z domu i żywo wszelkie nasze dzielącéj nieszczęścia, dowiedziałam się tam, że Wincenty Niemojowski i Narcyz Olizar, poseł wołyński *), zostali przywiezieni do Warszawy, osadzeni w ścisłem więzieniu na Pradze i tam bez pieniędzy, pościeli i żywności pogrążeni w największéj nędzy. — Wskroś tą wiadomością przejęta, pobiegłam natychmiast do jenerałowéj Fredro, z domu Gołowin, zacnéj pani, w przyjaźni będącéj z Witem, ówczesnym gubernatorem Warszawy, i z całą żywością przykrych uczuć prosiłam jéj, aby wpływem swoim otrzymała dla mnie pozwolenie widzenia Niemojowskiego i naocznego przekonania się o jego doli. Dodałam, że od tego przedsięwzięcia żadne przeszkody mnie nie odstraszą, że żadnem ubocznem doniesieniom wierzyć nie będę, że nakoniec chęć dopomożenia krewnemu za obowiązek sumienia sobie uważam. (Wincenty rodził się z Walknowskiéj, rodzonéj siostry ojca mego, Felicyana Walknowskiego). —

Fredrowa zaprzeczyła z razu jego bytności na Pradze, bo władza niechcąc drażnić rozpaczającéj publiczności, chciała tych więźniów w największéj trzymać tajemnicy. Atoli nie udało jéj się. Poczciwa przekupka na Pradze, mająca swój stragan naprzeciw domu, w którym widziała ustawicznie zmieniające się warty, wiedziona najprzód ciekawością, późniéj litością — zaniosła więźniom bułek; od nich dowiedziawszy się ich nazwisk, pobiegła do Warszawy, trafiła do kogo ją instynkt opatrzny prowadził i zdradziła ten tak ściśle zachowywany sekret.

To też nie mało się zdziwiono, że ja wiem, co się dzieje na Pradze.

W pare dni późniéj na wieczorze u Fredrowéj zgromadziło się paru jenerałów, do których natychmiast się udałam o wyjednanie tego pozwolenia. Znowu zaprzeczyli téj wiadomości i zaczęli grzecznie badać, zkąd ją mam. — Dla przerwania śledztwa powiedziałam, że tego się odemnie nie dowiedzą — ale, że będąc pewną bytności Niemojowskiego, muszę być u niego. Wtedy jenerał Rychter zapytał mnie, czy się nie obawiam skompromitować? — Drugi ostrzegł mnie „qu'ils sont enfermes avec des Forcats, et vous devrier craindre comme femme.“ .... Nie pozwoliłam dokończyć uwag. Pierwszemu powiedziałam, że nie może być podejrzanym, kto chce tylko pociechę ponieść nieszczęśliwemu; drugiemu, że nie odwiedziny w pałacach, ale odwiedziny w więzieniach są chlubne. — Na to Rychter: „Eh bien Madame, vous verrez demain votre Cousin, mais avec l'assistance d'un officier. — Même avec celle d'un Cosaque, Général, pourvu que je le vois....

Czekałam jednak jeszcze dwa dni. Dowiedziawszy się, że ci sami jenerałowie znów wieczorem do Fredrów przybyli, poszłam męczyć ich moją natarczywością.

Dnia 15go Listopada, kiedy walczyłam z niecierpliwem oczekiwaniem obiecanego oficera, a niepewnością, czy przybędzie, drzwi się otwierają i wchodzi kapitan Sojecki z oznajmieniem, że odebrał rozkaz zawiezienia mnie do pana Niemojowskiego. Dodał, że jeżeli dla brzydkiego czasu (bo właśnie deszcz ze śniegiem padał) zechcę tę wizytę na inny dzień odłożyć, ma rozkaz stósować się do mojéj woli. Powiedziałam, że jadę natychmiast i wybiegam szukać powozu. Posłałam prosić o niego w pare miejsc — ale strach był tak ogólny pomiędzy tymi, co posiadali karety, że nikt mi swojéj udzielić nie chciał. Musiałam siąść do doroszki z oficerem rosyjskim i przejechać tak całą Warszawę.

Stanęliśmy na Pradze około godziny trzeciéj z południa. Sojecki wysiadł dla dopytania się o mieszkaniu komendanta Pragi, następnie wzięcia od niego za kartą gubernatora pozwolenia odwiedzenia więźnia.

Czekam smutna w doroszcze, a wtem woźnica wyczytawszy smutek na méj twarzy, zapytał, czy mnie czasem do więzienia niechcą wsadzić? Powiedziałam, że nie o mnie tu chodzi, ale o odwiedzenie nieszczęśliwego więźnia. — „To co innego, odrzekł poczciwy Mazur — bo gdyby inaczéj było, to jabym pani pewno nie bronił wysiąść.“ —

Wkrótce po téj naszéj rozmowie braterskiéj wraca kapitan zaperzony: powiada mi, że z pijanym komendantem dogadać się nie może, że on czytać nie umie, a więc biletu gubernatora sprawdzić niepotrafi i że wypadnie bez żadnego skutku do domu powrócić. Uprosiłam kapitana, żeby jeszcze raz próbował wejść, a sama wysiadłam i chodząc po podwórzu tego domu, rozmyślałam nad sposobami ujęcia pijanego barbarzyńcy.

Niebawem pojawia się z ulicy jakiś oficer, który widząc mnie po błocie błąkającą się, zapytuje o przyczynę? Opowiadam mu całe zdarzenie i proszę, żeby litościwie raczył mi dopomodz. Grzeczny ten człowiek podaje mi rękę i prowadzi na górę do komendanta. Tam, przeczytawszy pismo jenerała Witta, oświadczył komendantowi, że na mocy tego rozkazu sam mnie do więzienia poprowadzi. Pan komendant, który widać na moje pieniądze rachował, nie posiadał się ze złości i zemścił się po swojemu obsypując mnie obelgami. Nieznajomy oficer nie szczędził mu ich także. Wśród téj wrzawy zeszliśmy śpiesznie ze schodów udając się prosto do więzienia Niemojowskiego.

Jestto dom narożny, stojący naprzeciwko dużéj piętrowéj kamienicy, która wtedy była mieszkaniem komendanta Pragi. Dom ten naówczas na pół zburzony strzałami, ledwie mający jednę izdebkę dla więźniów, bez komina ani pieca, był otoczony czterema szyldwachami z tyłu i z przodu; sień była napełniona żołnierstwem, a jeden szyldwach w izbie. Tam, stolik, dwa

---

*) Senator, kasztelan, zmarły w Sadach pod Poznaniem w miesiącu Sierpniu 1862 r., licząc lat 84.

stołki i trochę słomy wilgotnéj na boku, zamiast łóżka dla obu więźniów; powietrze stęchłe, piwniczne z powodu wilgoci i natłoku żołnierstwa.

Sprzeczne uczucia boleści i radości, oburzenie na widok opłakanego stanu więźniów, sprawiły, że słowa nie mogąc wymówić, rzuciłam się ze łzami bratu na szyję. On bardzo rozrzewniony, wskazał mi tylko ręką to, co go otaczało. Po chwili opowiedział, że doznaje najbrutalniejszego obejścia od komendanta, a skarżyć się nie może, bo mu wszelka kommunikacya z kimkolwiek zabroniona. Gdy go zapytałam, jakim sposobem został schwytany, w tych słowach całą rzecz mi opowiedział.

„Wyjechałem z Zakroczymia ze stałem przedsięwzięciem emigrowania do Francyi; sam jeden w powozie ze służącym moim dążyłem pocztą do granicy pruskiej. Kiedy już byłem niedaleko, spotkałem Olizara, posła wołyńskiego, jadącego w tę samą stronę bryczką otwartą. Widząc go bardzo chorym, proponuję, żeby siadł ze mną, bo mój pojazd dla chorego wygodniejszy i razem miléj nam będzie smutną odbywać wędrówkę. Z radością przyjął Narcyz moją inwitacyą i tak razem jechaliśmy dzień cały.

„Nazajutrz wieczorem, kiedyśmy już tylko o milę byli od granicy, gwałtowna febra zaczęła trząść Olizara — a że jakaś wioska ukazała się na boku, prosił żeby tam zajechać do karczmy i zimny przeczekać paroksyzm. Zajechaliśmy przed tę nieszczęsną karczmę... Ledwie kwadrans upłynął, wpada do wsi oddział Czerkiesów z oficerem na czele. Ujrzawszy dwa pojazdy przed domem, porywają najprzód bryczkę, rabują z niéj wszystko, gruchocą na kawałki — potem wpadają do izby, aresztują nas obu i każą z sobą do obozu jechać.

„Poczułem, że źle... chcąc jednak spróbować czy niema jakiego sposobu ratunku, wskazałem oficerowi chorego, prosząc, żeby pozwolił choć paroksyzm febry przeczekać. Tymczasem ofiarowałem mu na posiłek wina, wódki i rozmaite z powozu przyniesione zakąski. Szkatułka dębowa, w której całe moje mieściło się mienie, stała właśnie na stole. Spostrzegłszy ją Czerkies, porwał zaraz pod pachę. Widząc tę jego chciwość mniemałem, że tylko zaspokojeniem jéj będziemy mogli sobie wolność okupić; szepnąłem tedy, że mu zapewne z moich papierów nic nie przyjdzie, ale jeżeli chce mieć pamiątkę naszego spotkania, ofiaruję mu sto dukatów pod warunkiem, że nam pozwoli granicę pruską przebyć. Olizar ze swéj strony zaraz toż samo mu obiecał.

Czerkies ułagodził się zupełnie. Jadł i pił z nami spokojnie — a kiedy zaręczał, że go za przyjaciela uważać możemy, każden z nas do sakiewki, i wypłaciliśmy mu złotem dwieście dukatów. On wtedy podwajając życzliwość, obiecał nas z oddziałem odprowadzić do granicy, ażeby zabezpieczyć od napadu innych patrolów.

„Uwierzyliśmy jak dzieci! Dopiero ruszywszy z karczmy, zaczęliśmy z pewnym niepokojem upatrywać słupów granicznych i orłów pruskich.... Wystaw sobie naszą wściekłość, kiedy już ujrzawszy ową wyglądaną granicę, już mieniąc się być wolnymi — usłyszeliśmy głos Czerkiesa: „„W lewo!““ Postylion nie usłuchał od razu rozkazu — wtedy nasz przewodnik gwałtem zwrócił powóz w przeciwną stronę i parsknąwszy szyderskim śmiechem, wskazał nam drogę do obozu.

„Nie było rady! Musieliśmy tam się udać. W pare godzin przyjął nas w rosyjskim obozie jenerał Renne, naczelnie tam komenderujący.

„Zostaliśmy w obozie przez pięć dni. Opowiedziałem jenerałowi całe nasze zajście z Czerkiesem — a jemu w obec wszystkich oficerów powiedziałem, ze złodziéj i oszust. Przygoda wydała się bardzo zabawną — wszyscy się śmieli — nie wyjmując zdrajcy.

„Szóstego dnia jenerał Renne odebrał rozkaz od wyższéj władzy, ażeby nas odstawić do Warszawy. Pożegnał nas z uczuciem człowieka, przewidującego naszą smutną przyszłość, zapewne na pociechę, dodał, że dwieście dukatów odebrano Czerkiesowi — po czem, pod mocną eskortą tutaj nas odesłał.

— „Zamknięci w tym domu od dni czterdziestu, nie możemy z nikiem się komunikować. Były komendant Pragi Sivers, litościwy człowiek, obchodził się z nami jak mógł najlepiéj. Nie mogąc mi zwrócić moich pieniędzy (w szkatułce było kilka tysięcy dukatów złotem) otworzył mi przynajmniéj kredyt w oberzy. Po jego wyjeździe wszystko się zmieniło: nie wolno się skarżyć na różnego rodzaju przykrości i niedostatek, którego doznajemy. Kosztowności, które mieliśmy przy sobie, jak zegarki, łańcuszki, tabakierki, wszystko poszło w zastaw do oberży. A że prócz tego nic nie mamy, odmówiono kredytu i oto już dwa dni musieliśmy jedną obejść się bułką, którą nam poczciwa przekupka z litości podarowała.

„Doktor Malcz wezwany tutaj do chorego Olizara, dawał mi pieniędzy, ale odmówiłem, „o wolę wszelkie przykrości znieść, niż kogoś skompromitować. Zabrano mi wszystko — nie mam ani grosza, ani brzytwy, ani nożyczek, ledwie łyżkę do jadła zostawiono; jestem pozbawiony wszelkich wygód, wszelkich sprzętów moich podróżnych — boją się żebym sobie nie odebrał życia.... A jednak, przez sześć lat niewoli dałem dowody cierpliwości. Dziewięć miesięcy tylko miałem wolnych w życiu... słodki to nektar... upajający.... Ale jeszcze cierpieć nie zapomniałem, i cierpieć potrafię z godnością.“

Spokojnie tak mówił Niemojowski. Olizar gwałtowniejszego charakteru, przerywał często jego mowę słowami rozpaczy i gniewu: unosił się, złorzeczył wytykając palcem zbrodnie i podłości... jakbyśmy ich niewidzieli, jakbyśmy ich nie czuli w każdym kątku zakrwawionego serca.... Niemojowski słysząc to wszystko, obrócił się do mnie ze łzami w oczach i rzekł: „Na mnie dobroć najwięcéj działa! Płakałem kiedy mi poczciwa przekupka warszawska przyniosła chleba ocierając łzy fartuchem.... Dziś płaczę widząc, że krewna nie obawiała się mnie biednego odwiedzić.“

Zaręczyłam, że nie mam charakteru trwożliwego — że może być pewny, że mu dopomagać będę wszelkiemi siłami — że wróciwszy, zaraz wiernie opiszę gubernatorowi, com widziała i słyszała.

Kapitan Sojecki, stojący przy oknie i notujący naszą rozmowę, przystąpił do Wincentego i oddał mu od niewymienionego jenerała dziesięć dukatów i pakiet starych gazet do czytania, prosząc o pokwitowanie. Wincenty mniemając, że te pieniądze są mu przysłane na rachunek tych, które się w szkatułce znajdowały, pokwitował. Ja mu także przyniosłam trochę pieniędzy, ale moich przyjąć nie chciał, obawiając się dla mnie kompromitacyi. „Kiedyś takim opiekończym Anio

łem, dodał, szanuj się, bo jeszcze wiele dobrego wyświadczyć możesz.“

Po tem mówiliśmy jeszcze o moim mężu, byłym wice - gubernatorze Warszawy — o jego braciach — o jenerałach polskich, wysłanych do Jarosławia, którzy około okien jego izby się przesuwali.... A gdy to dało powód do politycznych zapytań, oczami ostrzegłam i powiedziałam, że przyrzekłam milczenie jako pierwszy warunek odwiedzin.

Skoro upłynęła dozwolona godzina, powstałam, chcąc odejść, oficer widząc smutek na naszych twarzach, powiedział, że bierze na swoją odpowiedzialność jeszcze kwadrans. Wtedy Olizar zbliżył się do nas i rozmowa stała się powszechną. Za pomocą języka francuskiego i bystrego słuchu Olizara (Wincenty od lat paru był ogłuchł) udało mi się dać im niektóre potrzebne wiadomości. Po tem Olizar zaczął opowiadać po swojemu przygody podróży; relacya jego zaprawiona żółcią i dowcipem, sypała się jak iskry z ironicznych ust sławnego mówcy....

Nakoniec trzeba się było pożegnać. Rozstanie było żałosne: pożegnałam obu, zaręczając Olizarowi, że i o jego interesach jak o własnych pamiętać będę. Wincenty polecił mnie oficerowi i podziękował z wylaniem za sprawienie tak wielkiéj radości i pociechy więźniowi.

Wyjścia mojego z pośród téj zgrai żołnierstwa nie pamiętam; przypominam sobie tylko, że gdy potrzeba było kilka rynsztoków i okropne błoto przebywać aż do dorożki, oficer mnie tam prawie na ręku przeniósł. Widać po wszystkiem było, że się obudziła jego skrzepła dusza na widok niezwykły człowieka, godnie znoszącego nieszczęście. Powtarzał mi kilka razy, ile mu jest przykro, że nic dla niego uczynić nie może. Jakkolwiekbądź, Moskal ufności we mnie wzbudzić niemógł, płaczem więc tylko odpowiadałam na jego słowa.

Stanąwszy na miejscu, chciałam zapłacić dorożkarza, kapitan prosił mnie, ażebym mu pozwoliła tą zapłatą przyczynić się do dobrego czynu. Bez narażenia się na urazę, trudno mu było tego odmówić, ale nas poczciwy dorożkarz w porę pogodził. Nie chciał przyjąć zapłaty, mówiąc, że „on także kursa darmo odbywa.“

Oficer przyrzekł mi jeszcze, że popierać będzie moją do gubernatora skargę na komendanta Pragi i że wszelkie posługi dla Niemojowskiego chętnie wypełni; ale ostrzegł zarazem, że gdybym jeszcze wyjednała sobie pozwolenie odwiedzenia więźniów, abym tego samego nieżądała przewodnika, boby to na niego szkodliwe mogło rzucić podejrzenie.

Uczucia wewnętrznéj pociechy z tak szczęśliwie dopiętego zamiaru, nigdybym dostatecznie opisać niezdołała; nigdy też gorliwiéj niedziękowałam Bogu. Wróciwszy do mieszkania, zaraz się wzięłam do zdania sprawy gubernatorowi z moich odwiedzin i podziękowania mu za udzielone pozwolenie. List mój był następującéj treści:

„Permettez Général, que je vous témoigne ma plus vive réconnaissance pour la permission que vous avez bien voulu m'accorder de voir mon Cousin Vincent Niemojowski. Encouragée par cette preuve de votre humanité, j'ose encore la reclamer plus particulierement pour les deux prisonniers (car Mr. Niemojowski a pour compagnon d'infortune Mr. Olizar).

„Depuis le départ du Colonel Sivers, ancien Commandant de Prague, ils se trouvent dans le plus grand abandon. La chambrette qu'ils occupent n'a que des debris de pöel et de cheminée, deux fenetres sans vitres, les murailles recouvertes nouvellement de terre glaise; jugez donc quel froid et quelle humidité il leur faut endurer. — L'argent qu'on a pris a Mr. Niemojowski, montant a 2000 ducats, enfermé dans sa cassette, lui ôte tous moyens de pourvoir a sa nourriture et a ces objets de prémiere necessité qu'exige sa faible santé.

„L'aubergiste qui fornissait leurs diners, n'étant pas payé depuis 40 jours, refuse son credit pour plus longtemps, et déja ils ont passé une journée entiere sans prendre rien de chaud. Niemojowski ne peut recourir aux conseils d'un medecin, dont il a cepedant grand besoin, car il n'est pas en etat de payer la pharmacie. Enfin toutes les privations, manque absolu de livres, de l'encre, du papier, lui rendent la vie dure, et le Commandant actuel ne sachant les apprecier par lui méme, ne peut aussi juger d'aucune maniere la grandeur de son infortune.

„Pardonnez moi, Général, la hardiesse que j'ai eue, de leur promettre un traitement plus humain, des que je Vous aurais instruite de leur triste position. — Votre nom, votre autorité, sont benis aujourd'hui par tant de malheureux! Permettez moi aussi d'esperer, que ce n'est pas en vain que je la reclame pour mon Cousin Niemojowski. Lorsque Vous l'aurez pris sous Votre protection, je serai plus tranquille sur sou sort, et Votre noble coeur, Général, ne sera pas non plus sans satisfaction, en portant un peu d'adoucissement a un homme connu par une reputation aussi loyale que malheureuse.

„Agréez, Général, l'assurance de ma haute considération.“

Zapomniałam do szczegółów mojéj wizyty u Wincentego dodać, że pan Sivers odjeżdżając darował mu włoską książkę, na któréj znowu zaczął uczyć Wincenty Olizara po włosku, aby tym sposobem stworzyć sobie zatrudnienie i uśpić chwilowo smutne obu myśli. — Śmiał się Wincenty, mówiąc, że przeszedłszy już dziesięć razy tę książkę, musiał koniecznie uczeń wielkie w nauce zrobić postępy. Widok tych dwóch ludzi tak różnie ukazujących się w nieszczęściu, dał mi przekonanie, które nawet rosyjski kapitan ze mną dzielił, że spokojne znoszenie przykrości więcéj bolesnego czyni wrażenia na widzach, jak gwałtowne pasowanie się z niemi. Może też wiek podeszły, siwa broda, twarz schorowana więcéj wzbudzały poszanowania dla Wincentego.

16go Listopada. — Gubernator raczył mi w wieczór oznajmić, że moje podanie, jako od osoby interesowanéj, nie może na zupełną zasługiwać wiarę i że potrzeba, abym mu wskazała kogoś ze znajomych i pewnych osób, któryby mógł być wyznaczonym do stwierdzenia tego, na co się więźnie uskarżają. Powiedział mi także, iż w skutek opowiadania mego kapitana o opilstwie komendanta Pragi, a szczególniéj o nieprzyzwoitem obejściu się ze mną, już go usunął z téj posady i w téj chwili więźniowie innego mają zwierzchnika. Podziękowałam mu nie za siebie, bo pociski tak nikczemnego człowieka krzywdzić mnie nie mogły, ale za biednych więźniów — zresztą, dodałam, Pan Jenerał pokazujesz w tem słuszną baczność na swoją własną sławę, gdyż takie bezprawia i okrucieństwa w twojem się dzieją imieniu.

Po zasięgnięciu rady od przyjaciół i własnym moim namyśle, wybór owéj osoby, mającéj na Pragę się udać, padł na Ojca Benjamina, gwardyana Kapucynów. Ten szanowny człowiek ze wszech miar mógł zasługiwać na zaufanie obu stron. Niesprzeciwił się gubernator temu wyborowi, więc co prędzéj wyprawiłam księdza Benjamina na Pragę. Jego tam przybycie sprawiło chwilową trwogę, bo wiadomo, co za wrażenie sprawia zwykle ksiądz więźniom się ukazujący. Ale w mgnieniu oka wywiódł ich z błędu; a obejrzawszy i wysłuchawszy wszystko, wrócił potwierdzić całe moje podanie, z tą jeszcze uwagą, że biedny Olizar musi spać na zgniłym barłogu, bo zrabowawszy jego bryczkę, zabrali Czerkiesi i pościel. Wyjednał zaraz u jenerała Witta pozwolenie zaopatrzenia obydwóch w ciepłe suknie, pościel i przesłania im wszystkiego, a mnie przybiegł powiedzieć, abym się co prędzéj o te rzeczy starała.

Wieczorem pełna ukontentowania, zrzuciłam pychę z serca i postanowiłam zabiedz drogę pani Sobańskiéj (przyjaciółce jenerała Witta), skoro będzie wyjeżdżać z balu od pani Fredro, w któréj domu mieszkałam. — Spotkawszy ją na wschodach, powiedziałam jéj, kto jestem; zwróciłam jéj uwagę, że wszyscy Polacy będąc teraz w nieszczęściu, winniśmy sobie wspólną pomoc i wymogłam na niéj przyrzeczenie, że skoro nagromadzę wszelkie dla więźniów przedmioty, ona mi jak najspieszniéj wyjedna pozwolenie zawiezienia ich lub przesłania.

Nie od rzeczy będzie dać tu krótki opis téj kobiety, która za samorządów Witta w Warszawie, wielką grała rolę przez swój wpływ na niego i zarazem przez wspaniałe i litościwe interesowanie się wszelkiego rodzaju nieszczęśliwymi. Pani Sobańska, z domu Rzewuska, pochodziła z Wołynia, gdzie została głośna sława jéj wdzięków. Do Warszawy przybyła za jenerałem Wittem, który podobno pragnął się z nią ożenić. Ale dla obojga potrzeba było rozwodu, na który cesarz żadną miarą zezwolić nie chciał, obawiając się, aby Sobańska zupełnie Witta nie spolszczyła. Chociaż za przybyciem do Warszawy była to już 40to letnia kobieta, zostały jéj jeszcze ślady piękności, postać ujmująca, wychowanie staranne, wysłowienie czarujące i tak piękny dźwięk głosu, jakiego trudno było, wedle powszechnego zdania, napotkać. Jej przedstawianie się w towarzystwach, oznaczało osobę wyższego świata; serce miała polskie i odwagę poświęcania się dla rodaków. Wszyscy ci, co w téj rozpaczliwej chwili potrzebowali pociechy, pomocy, odzienia, nawet wyprawienia za granicę, śmiało i skutecznie udać się do niéj mogli. Rano, jéj przedpokój był napełniony żołnierzami, oficerami, rannymi, chłopami, nawet żydami. Z każdym mówiła, dla każdego hojna ręka jéj była otwarta, od każdego petycyą odebrała, i wiernie nazajutrz otrzymać musiała odpowiedź, i tę osobie interesowanéj oddać. Kilka razy byłam świadkiem takiego u niej natłoku. A że sama jedna mogła i śmiała się wstawiać do Moskali za nieszczęśliwymi, których się wtedy liczba wzmagała, więc też była celem ich ubóstwienia, a nawet przykro wyznać, często nadużyto jéj dobroci.

Nasze Panie długo krzywiły się na nią, i koniecznie godność swoję utrzymać chciały; ale kiedy dla ratowania męża, brata, przyjaciela, ona jedna była tarczą, musiały inne względy pójść na bok. Jéj wpływ byłby się zrobił jeszcze obszerniejszy, gdyby go nie krzyżowała złość jenerała Rautenstraucha, który znowu, jak straż piekielna, był zawsze obecny i wstrzymywał rękę Witta, kiedy chodziło o podpis jaki dobroczynny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Salvatora Rosy Satyry i Ody.

> La virtu dell'ingegno consiste nella sua indipendenza — l'ingegno servo come l'uomo schiavo, perde la meta del suo valore. Gioberti.

Życie Salvatora Rosy, poety i malarza, daje wyobrażenie o wszystkich wyższych włoskich artystach, których duch niepodległy przedstawia widok ciągłéj walki z przeciwnościami, a w sztuce spokój i jakby odetchnienie po burzach. — Praca uspokajała te umysły drażliwe tak dalece, że się stawali niepodobnymi sobie; bo i któżby z dzieł Celliniego poznał, że to robota szaleńca, który pojedynków odbył bez liku, zadzierał ze wszystkimi, że to praca żołnierza, więźnia, kaleki... czy się tego domyśli z owych tarcz, hełmów, krzyżów i waz, najcudniejszymi płaskorzeźbami okrytych; z posągu wreszcie Perseusza, który zdaje się być wyrobem greckiego dłuta z najpiękniejszych czasów sztuki... — Dopóką z ludźmi szaleniec, jak prędko zamknie się i uspokoi, świat inny, doskonały, ogarnia tę drażliwą i wrażliwą organizacyą, i wtedy artysta pan w żywiole swoim, nieprzeszkodzony od pysznych, głupich i złych, swobodnie się porusza, kocha, tworzy i owoc swéj rajskiéj pielgrzymki rzuca przed tych samych, z którymi wiecznie toczy boje. Takim był Cellini, takim Michał Anioł, takim Leonardo da Vinci, takim Rosa.

Salvator Rosa urodził się w wiosce Renella o dwie mile od Neapolu 22go Lipca 1615 r. z rodziny, w któréj talent malarski był można powiedzieć dziedzicznym; dziad jego był malarzem, podobnie jak i ojciec Wit Antoni de Rosa, któremu nie pomyśli było widzieć syna na téj trudnéj drodze, na jakiéj sława z szyderstwem, fortuna z nędzą w jeden się wieniec, tylko nie równo, plotą. Wit Antoni dla syna swego marzył o katedrze profesorskiéj, albo o todze i birecie adwokackim, byle nie o tym nieszczęśliwym pędzlu, który sztywnieje w palcach zatroskanego o jutrzejsze pożywienie artysty i gwałtem ku szarym kolorom ciągnie, kiedy mu błękity malować potrzeba.

Salvator Rosa oddany do kollegium Ojców Somaschi, doszedłszy do retoryki zamiast sylogizmów in barbara et in ferio, począł próbować rozmaitych instrumentów muzycznych, ale niedługo to trwało; dla Włochów muzyka jest rzeczą za zbyt łatwą, żeby jéj się poświęcać wyłącznie. W kraju Owida i Staciusza młody Rosa poczuł w sobie poetyczne natchnienie, co niewypowiedzianą pociechą napełniło ojcowskie serce i stary Wit Antonio już sobie roił: jak syn jego zyskawszy poetyczną sławę podobnie do Kawalera Marini, rymotworcy włoskiego z owych czasów, który za sześćset wierszy na cześć Maryi z Francyi otrzymał pensyę 2000 florenów, takiejże saméj dobije się fortuny. — Nieszczęściem nowy geniusz opanował Salvatoriela: harmonia linii architektonicznych; tu należy przypomnieć, że wszy-

scy wielcy artyści włoscy posiadali tę wszechstronność w sztuce: Rafael pisał sonety, rzeźbił, był architektem i malarzem; toż samo Michał Anioł, toż Cellini, Leonardo da Vinci, Salvator Rosa, Bernini, a pierwéj jeszcze ojciec szkoły włoskiéj Giotto — owóż popęd do architektury wytrącił na chwilę poetyczne pióro z rąk Salvatoriela i marzeńko ojcowskie pękło, jak bańka mydlana.

Biedne te marzenia ojców! gdyby się miały urzeczywistniać — Michał Anioł byłby tkaczem, Corregio rzeźnikiem, Guido Reni i Cellini muzykantami, Andrea del Sarto krawcem, Guercino mularzem, Claude Loraine pasztetnikiem, Molier kupcem starzyzny, czyli po prostu gałganów, szczęściem, jak powiada Lady Morgan, że prawdziwe powołanie jest jak miłość i potok, których niezatrzymać w biegu.

Do rysunku młody Rosa czuł niepowstrzymany pociąg i gdzie tylko mógł, kreślił domy, plany, figury jeometryczne, ale i to niedługo trwało; przeszedł szał architektury, obudziło się malarstwo i Salvatorielo rysował bez ustanku — z domu rodziców uciekał za Neapol na wzgórza, na których siadał wytężając wzrok na błękitne morze, którego piękność dziwnie wpływała na duszę muzyka, poety, malarza, w obec téj harmonii kolorów, tego bogactwa farb, téj szerokości i przepychu perspektywy, którymi go ziemia ojczysta otaczała, liche obrazki Paola Greco, ojca jego matki, dawane mu do kopiowania, wydawały mu się tak nikczemnymi, że bez wątpienia byłby rzucił wszystko i poszedł gdzie na wagabondę, gdyby mu w pomoc nie przyszła siostra, żona Franciszka Francazano, zdolnego z owego czasu malarza, która się całkiem losem jego zajęła.

Malarze neapolitańscy niebardzo troszczą się o rysunek; przedewszystkiem są to koloryści i główną rzeczą u nich jest pittare, malować ile możności i jak najwięcéj. — Tą samą drogą poszedł Salvatorielo i w krótkim czasie okazał taką wprawę, że baczną na siebie, rozumie się w rodzinnem kółku, zwrócił uwagę.

Lat miał 17 kiedy mu umarł ojciec i malarstwo miało mu wystarczyć na utrzymanie siebie i familii; jakoż jak tylko świt — z teką pod pachą wędrował za Neapol, k'woli zdejmowaniu widoków morza i krajobrazów, a potem wieczorem pokazywał te prace swoje krewnym i nabierał odwagi słysząc pochlebne słowa skrop, skrob, dobrze idzie, fruscia che va buono, i powoli, powoli począł sprzedawać swoje obrazki.

Rodzina Salvatora w wielkiéj znajdowała się nędzy, często nie było za co płótna kupić na nowy obrazek, co wszystko jednak niezniechęciło chłopaka, i tylko umysł ten z natury wesoły pociągnęło ciężką mgłą melancholii, którą w późniejszym czasie odznaczają się jego obrazy. W szczęściu czy w nędzy jednakowo upływają lata, choć niejednakowe w duszach zostawiają owoce. — Pracując i biedując, już miał lat dwadzieścia, kiedy parmezańczyk Lanfranco, sławny malarz, o którym dzisiaj nikt niewspomina, przejeżdżając w pojeździe przez ulicę Miłosierdzia w Neapolu, zatrzymał się przed sklepikiem kupca obrazów na widok pejzarzy, pomiędzy którymi jeden przedstawiał Agar na pustyni.

Sierota Salvatorielo wymalował wypędzoną Agar z Izmaelem synem upadającą od głodu — nędza, sieroctwo, pustynia — obrazek ten wzięty był z natury i przeto zwrócił uwagę znawcy, który zażądał go mieć, chwaląc nieznanego artystę i unosząc się nad jego pracą.

Pochwała znakomitego Lanfranca spędziła kupców do domu biednéj rodziny, przekupnie ci poczęli tłoczyć się z oświadczeniami nabycia, co widząc Salvatorielo, pomyślał sobie: kiedy tak, to i my się potargujemy.

Jakoż od owego czasu fortuna, dotąd obojętna pani, poczyna się uśmiechać do Salvatora; — pochwały cenionego powszechnie artysty nie podniosły go w pychę, przeciwnie dały mu do myślenia: że się ubiegać może o lepsze z innymi. Rzym, o którego arcydziełach słyszał tak wiele, zajął teraz całą jego imaginacyą — miasto uprzywilejowane sztuki spać mu niedozwalało, o niczem innem nie myślał, nie gadał, jak aby co prędzéj dostać się do Rzymu; . . . chcącemu, mówi przysłowie, nie ma nic trudnego; znalazła się okazya — w r. 1634 przyjaciel Mercurio zapłacił za niego Veturina i puścili się w drogę.

W mieście Romulusa i świętego Piotra o mało nie oszalał na widok tylu osobliwości, i tak dalece zapomniał o wszystkiem, tak nieustannie rozpędzał się po muzeach i obszarach kampanii ruinami zarzuconych, że aż nareszcie dostał rzymskiéj febry, która rzuciła go na łoże szpitalne i przez sześć miesięcy zatrzymała w stanie pomiędzy życiem a śmiercią. Kiedy się zwlókł, zżółkły i wynędzniały, kazano mu coprędzéj wracać do Neapolu pod opiekę ojczystego powietrza, jeźli jeszcze chce pochodzić nieco po tym padole płaczu.

Wrócił tedy do Neapolu, ale nie wiedział, co począć: kupców na obrazki zabrakło, komedyi grać nie umiał, na sztuce dobierania się do grosza nie znał się, a la maniera owych to niby artystów, którzy wzdychając a przewracając oczy, fanno da Santi i nazywani bywają bardzo świętymi; tak źle, tak niedobrze, trzeba wracać do Rzymu, pomyślał sobie — pozbierał studia, upakował, torba na plecy, kij w rękę, teka pod pachę i daléj w świat do Rzymu, do przyjaciela Mercurio, który dostąpił godności maestro di Casa, czyli rządzcy domu kardynała Brancacio i porastał, jak to mówią, w pierze. —

Poczciwy Mercurio przygarnął współziomka, który pracować począł od dnia do nocy po galeryach. Kardynał Brancacio, biskup Viterbo, słysząc o zdolnościach Rosy, zaproponował mu pracę w kościele tegoż miasta, zwanym della morte. — Zadanie było trudne, obraz ś. Tomasza, dotykającego boku Zbawiciela, ale z którego Salvator wyszedł zwycięzko, pracując bowiem, myślał: niewierzycie, iż we mnie jest coś z miłosierdzia bożego, przekonajcież się Tomaszowie niewierni i wystąpiło w całéj świetności arcydzieło mistrza Salvatora.

W Viterbo poprzyjaźnił się z Autorem Frascherie Antonim Abati, od którego zyskał wiele jako pisarz, a mianowicie w satyrach, które nie wiem, jeźli nie w owym czasie pisać począł.

Wykonawszy powierzoną sobie pracę, a niechcąc należeć do kardynalskiéj świty, Rosa wrócił do Neapolu, rozumiejąc: że już teraz więcéj znany i ceniony, znajdzie robotę, która mu kawałek chleba zapewni, ale omylił się. — Ribeira (lo Spagnoletto), Careaciolo i Belisario Corenzio, związawszy się w ligę pomiędzy sobą, wygryźli Annibala Carraci, Lanfranca, Dominichina i Guido Reni, poczem zabrali się do naszego nowicyusza i poczęli szarpać go, szydząc, niepróżnując gdzie było można i jak było można, co zresztą bardzo jest do zrozumienia jako rzecz praktykująca się w każdym kraju i w każdym wieku. — Kupowano i chwalono Mica Spadaro, którego lew był podziwem Neapolitańczy-

ków, ale na obrazy Salvatora nikt niespojrzał. Krytyka osądziła go zdolnym do malowania jedynie pejzażyków i obrazków kościelnych, które nie były na czasie, a błachość wyobrażeń doszła do tak kolosalnych rozmiarów, że prawdziwy artysta, patrząc na własną i narodu swojego nędzę, ile że Neapol w epoce téj jęczał pod jarzmem Hiszpanów, powziął myśl kompozycyi Prometeusza, któremu sęp wyżera wciąż odrastające płuca — obraz ten posłany do Rzymu obudził powszechne podziwienie; jakoż wnet wzorem owego czasu uczczono Salvatora nietylko sonetami, które sypały się ze wszystkich stron, ale także i tytułem Demostenesa malarstwa (sic). Mercurio i Simoneli cuda mu o tem pisali i na ich listy Rosa pospieszył już po raz trzeci do Rzymu, gorzkim słowem żegnając ojczyznę — „sługę sług, gdzie więcéj cenią konia zrajtszuli, niż człowieka, gdzie dają posłuch i tytuły łotrzykom i gdzie towarzystwo de nobili wstydzi się uczyć czytać, jako rzeczy niegodnéj swojego stanu.“ Przy końcu r. 1638 Salvator najął mieszkanie w Rzymie na rogu ulicy Babuino.

Od czasu Leona Xgo Rzym nie widział tylu razem artystów. Urban VIII, papież lingwista, pisywał hexametry na cześć Dafny, posągu kawalera Bernini — Rubens, Vandyk, Poussin, Vuet i Claude Loraine — Guido Reni i Dominichino, Albano, Guercino i Lanfranco — Piotr z Cortony i Michał Caravaggio znajdowali się jednocześnie w Rzymie; z rzeźbiarzy i architektów dość wymienić Berniniego, pod którego dyrekcyą wykończano budowę ś. Piotra, wśród których Salvator zrozumiał, że niedość jest wykonać jeden piękny obraz.

A do tego wiedzieć potrzeba: że kawaler Bernini w Rzymie był tem, czem lo Spagnoletto w Neapolu, to jest zębem na wszystkie dojrzałe czy niedojrzałe talenta, tem więcéj, im mniéj miał prawa do nieśmiertelności w sztuce; pod jego dyrekcyą niejaki Caselli pisywał komedye przedstawiane w Rzymie, w których docinał artystom; owóż zdaje się, że i naszemu Salvatorielo musiało się coś dostać, kiedy nagle widzimy go występującego do walki z Casellim.

W czasie karnawału Rosa biegał przebrany za mrówkę z kilkoma towarzyszami po Rzymie i dowcipem zwracał na siebie uwagę powszechną; gdzie się pokazał wóz della formica, tłumy leciały za nim, bo mrówka dogryzała również po swojemu; ztąd znajomości, powtarzania konceptów, co wszystko miało posłużyć do dalszych planów Salvatoriela, który zamyślał o założeniu teatru pod gołem niebem i zmierzeniu się z mistrzem Bernini, architektem, rzeźbiarzem, poetą etc.

Jak umyślił, tak wykonał. — Za bramą del Popolo w Villi Mignanelli zebrało się mnóstwo artystów i ludu na ową pierwszą reprezentacyą, na któréj znajdował się także i prepotente Bernini. — Sztuka była nieosobliwa, bo też i nie szło o sztukę, ale o wychłostanie Caselli i pokazanie pazurów Berniniemu, jakoż tak ich obudwu podrapał (niech mi czytelnik daruje prostactwo wyrażeń, ale do téj epoki życia Salvatora innego stylu kunszt biografa niedozwala mi użyć), że Caselli poprzysiągł mu zemstę wespółk z wielkim architektem.

Po skończeniu sztuki Rosa zadowolony ze siebie, nie wiedział, co go oczekuje, aż w kilka dni grają w dziedzińcu pałacu Sforzow komedyę, w któréj przedstawiają niby rodzaj czarownika — odgadującego przeznaczenia rozmaitych osób do sztuki wchodzących, pomiędzy którymi Salvatorielo zobaczył i siebie w swoim kostjumie mrówki i usłyszał, czego nie wiedział, że jest złodziejem, że pokradł lichtarze śrebrne, że był oszustem, łotrem i t. p. specyały, nareszcie, co go najmocniéj dogryzło, usłyszał drwiny ze swojego rodzaju malowania. —

U Włochów, a nawet nie u Włochów, podobna affaracia sztyletem pachnie; Rosa jednakże obrał rozsądniejszą drogę i zażądał wytłómaczenia tego kroku od kawalera Bernini, a uzyskawszy najzupełniejsze zadosyćuczynienie, wziął się do malarstwa na serio.

W czasie tych awantur, o których wyżéj, Rosa pisał ody, strofy do muzyki, śpiewał po towarzystwach, grał na gitarze i malował obrazy religijne, takie jak np. syn marnotrawny itp., które mu coraz większą zdobywały sławę, czyli walcząc z biedą, nie wchodził w żadne z nią układy, które zwykle nazywają się rezygnacyą, czyli aktem zgody z głupstwem, podłością, nędzą i pogardą — umysł wolny górą idzie nad te przypadłości, jak się wyraża nasz praktyczny i bardzo filozoficzny Bogusławski:

Mnie chociaż głód dojmuje,
Lecz duszy by nieszkodzi,
Śpiewaniem biedę truję,
Wesołość troski słodzi.

Teraz przychodzi epoka najważniejsza w życiu naszego artysty — jego polityczne działanie.

Malarstwo, poezya, muzyka, piękne rzeczy, ale ojczyzna w niewoli, ale hańba współbraci, to rzecz ważna; — przy wymawianiu tych wyrazów krew zbiera się wszystka do kanałów sercowych, zęby się zaciskają, włosy powstają na głowie, oczy stają kołem i szaleństwo poczciwe ogarnia człowieka — biada, jeżeli ten ogień we łzy się rozpłynie, bo już wszystko skończone, lepiéj więc i dla pacyenta i dla nauki, żeby do furyi doszło usposobienie, a nie kończyło się na melancholii, albo spokojnem waryactwie — daj Boże szczęście wszystkim furyatom na miłość ojczyzny.

Od chwili, w któréj pierwszy raz zobaczył Hiszpana, obdzierającego biednego Włocha, Salvatorielo (tak go przez długi czas nazywano) myślał, czuł i rozumował, jak każdy w takim razie myśleć obowiązany — od téj chwili stracił spokojność, gdzie się obrócił nędza własna i nędza narodu ścigała go jak przekleństwo; gitarą nie mógł jéj zagłuszyć, ani śpiewami zaśpiewać; nie mam zamiaru wykrzyknikami się posiłkować, które na nic się nie przydadzą, ale nie mogę zamilczeć, co mi gwałtem z piersi się wyrywa, że tylko szlachetna nędza wielkie nieszczęścia zrozumieć jest zdolną — życie wygodne, potrzeby zaspokojone głuszą nie jedno najpoczciwsze uczucie. — Są wyjątki, ale niewypowiedzianie rzadkie i tylko z biedactwa rekrutują się bohatyrowie i święci. Czytelniku, daruj mi to zboczenie od opowiadania, chociaż nie od prawdy.

Dolce pace del cor mio
Dove sei chi t'ha rubato. . . .

—

O! spokoju serca drogi,
Gdzieś jest, kto mi wykradł ciebie?
Powiedz, jaki czyn niegodny
Wypędził cię z mego łona?
Kiedyś wyszedł z piersi mojéj?
Gdzieś się podział, gdzie przebywasz?

O! wróć do mnie, bo radości
Bez ciebie nie zaznam już! . . .

Spokój Salvatora była to owa piękność, która każdemu, na ten świat przychodzącemu, uśmiecha się na łonie matczynem i w pierwszéj młodości pod postaciami wolności i miłości a ginie rychło pozwalając niemiłosiernie swojemu inamorato rozbijać się po bożym świecie, zaglądać pod płaszcz najwścieklejszych burz, w gniazda węży i bestyj najzjadliwszych, aż wreszcie po tylu dowodach miłości koronuje swojego ulubieńca kilku krzakami ostu, rozchodnikiem i innymi w tym rodzaju laurami mogił. — Spokoju absolutnego kto kiedy był panem? Za koniec szaty wszakże tego bożka uchwycił nie jeden szczęśliwy, któremu udało się świętego obowiązku dokonać. Salvatorielo należał do szczęśliwych. —

(Dokończenie nastąpi).

Rozmaite wiadomości.

Poznań dnia 6 Listopada 1862.

Komitet do urządzenia uroczystości tysiąc-letniéj rocznicy jeszcze żadnéj dotąd niewydał w téj sprawie odezwy; poprosiwszy jednakże na prezesa honorowego księdza arcybiskupa Przyłuskiego, uwiadomił naczelnego prezesa p. Bonina, iż zamyśla wznieść w przyszłym roku kopiec na cześć Piasta, a na nim kaplicę śś. Cyrylla i Methodego w Kruświcy nad Gopłem, naprzeciw tamtejszéj kollegiaty, świeżo zrestaurowanéj. Czy jakie w tym celu rozpoczęto już prace na miejscu, niewiem, ale wątpię. Prace do Album Piastowego nadchodzą też dotąd bardzo skąpo; prócz już poprzednio wymienionych nadesłali wszakże:

1) Słowo pierwotnych dziejów Polski, które w tysiąc-letnią rocznicę ucywilizowania się jéj za powodem religii katolickiéj, tudzież ustalenia władzy monarchicznéj przez powołanie na tron rodziny Piasta, wyrzekł Wacław Alexander Maciejowski z Warszawy.

2) A. E. Odyniec z Wilna: Melodya Irlandzka z Tomasza Moora.

3) Floryan Miładowski z Maciek pod Mińskiem: Kantatę: „Ojcze nasz“ wraz z życiorysem i portretem.

4) Ks. Tomicki z Konojadu pod Kościanem: Wniebowzięcie Matki Boskiéj, czyli śmierć Boga-Rodzicy.

5) J. Jeliteńko z Oleska na Rusi: Kilka słów o zjednoczeniu obrządkowem.

6) Wiktor z Bawarowa pod Mikulińcami w Galicyi: Psalm 136ty; Oda do Napoleona III na zdobycie Bomarsundu (z łacińskiego Ad. Mickiewicza).

7) Cypryan Norwid z Paryża: Ideał i Rzeczywistość, Naturalia, Wyrodek, wraz z własnym życiorysem.

8) H. Forster z Berlina o wolności druku, wraz z życiorysem i portretem.

9) Hieronim Marcinkiewicz z Witebska: Rezygnacya; Czyby nie czas; Pokutnik i dwa ustępy z dramatu: Podróżny. —

10) L. S. Wieczor z Moskwy. Tajemniczy Prorok i Egipskie Widzenie.

11) Jan Prusinowski z Żytomierza: Maronici; Gołąbek syryjski; Pieśń Mohortowa.

12) D. Markiewicz z Moskwy: Tukaj albo próby przyjaźni (zakończenie ballady Ad. Mickiewicza i A. E. Odyńca); część V i VI i Tajemnica.

13) E. D Hygens z Kowieńskiego: Listki (3) jesienne: Dedykacya; Hot, legenda Albańska; Piast; Kwiatek leśny; Do J. B.; do E. D.; do J. C.; Dzień Aniołów Stróżów r. 1862; Nagrobek egoisty; Pieśń o dzwonie z Szyllera; tłómaczenia z Heinego, Safira, Anastazego Grüna.

14) K. Kucz (redaktor Kuriera Warszawskiego), Skowronek, wraz z króciutkim życiorysem.

Z początkiem jesieni zaczęło się życie w Poznaniu nieco znów ożywiać. Towarzystwo Przyjaciół nauk rozpoczęło 20go z. m. na nowo swe posiedzenia: na pierwszem z nich czytano p. Kamińskiego z Krakowa tłómaczenie Dantego Komedyi Boskiéj; postanowiono na cześć Śniadeckich w Żninie i na cześć Staszica w Pile, miejscach ich urodzenia, wmurować w ściany tamtejszych kościołów tablice pomnikowe. Na ostatniem posiedzeniu dnia 3 t. m. czytał p. Wegner ciekawy opis konfederacyj wielko-polskich, zawiązanych r. 1792, do którego materyały czerpał z tutejszego archivum grodzkiego.

Tutejsze Towarzystwa: przemysłowe i czeladzi katolickiéj rozpoczęły swe czynności zimowe przedstawieniami teatralnemi i muzykalnemi, wykonanemi przez członków tychże towarzystw. Mianowicie:

Dnia 29go z. m. wieczorem, odbyła się w Sali Hotelu Saskiego reprezentacya teatralna, ułożona przez kilkunastu członków Towarzystwa Przemysłowego z współdziałaniem Dyrekcyi tegoż Towarzystwa. Widowisko to nosiło na sobie cechę ściśle prywatnego zgromadzenia, ponieważ wstęp do sali był dozwolonym tylko członkom Towarzystwa i gościom przez nich pod własną odpowiedzialnością z poprzedniem wymienieniem nazwisk wprowadzonym. Pomimo to zebrał się tak liczny zastęp widzów, że obszerna sala wraz z przyległym przedsionkiem, zaledwie ich pomieścić zdołały; wielu nawet jakkolwiek biletami opatrzonych, dla braku miejsca wcale na salę dostać się nie mogło. Chociaż w skutek przepełnienia niezmierne rozwinęło się gorąco, wszyscy widzowie jednak wytrwali do końca widowiska, które zacząwszy się o godzinie 6téj, przeciągnęło się aż do kwadransu na dziesiątą. Po uwerturze z Don Juana, wykonanéj przez orkiestrę w większéj części przez członków Towarzystwa złożoną, dobrany chór męzki, pod przewodnictwem pana Dembińskiego, organisty przy katedrze tutejszéj, zaśpiewał kilka zwrotek wiersza umyślnie na ten cel ułożonego, na melodyą nadzwyczaj wdzięczną w rymie mazurkowym, utworu pana Dembińskiego. Następnie amatorowie odegrali dwie komedye oryginalne polskie: Po Naszemu Hlebickiego-Józefowicza wierszem w 2 aktach i Opiekę Wojskową Bogusławskiego prozą w trzech aktach. Wykonanie tych sztuk było z wszech miar nadzwyczaj zadawalniające, tak, iż w widzach pomimo długości przedstawienia, wywołało i do samego końca utrzymało najżywsze zajęcie. Pozwalamy sobie w końcu wyrazić nadzieję, iż szanowni amatorowie i piękne amatorki nie zechcą poprzestać na tem jednem przedstawieniu, i że raczą wkrótce powtórzyć tak piękną, a przy tem tak pożyteczną rozrywkę.

Redaktor, i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Garbarskiéj Nr. 45. — Czcionkami A. Poplińskiego w Poznaniu.